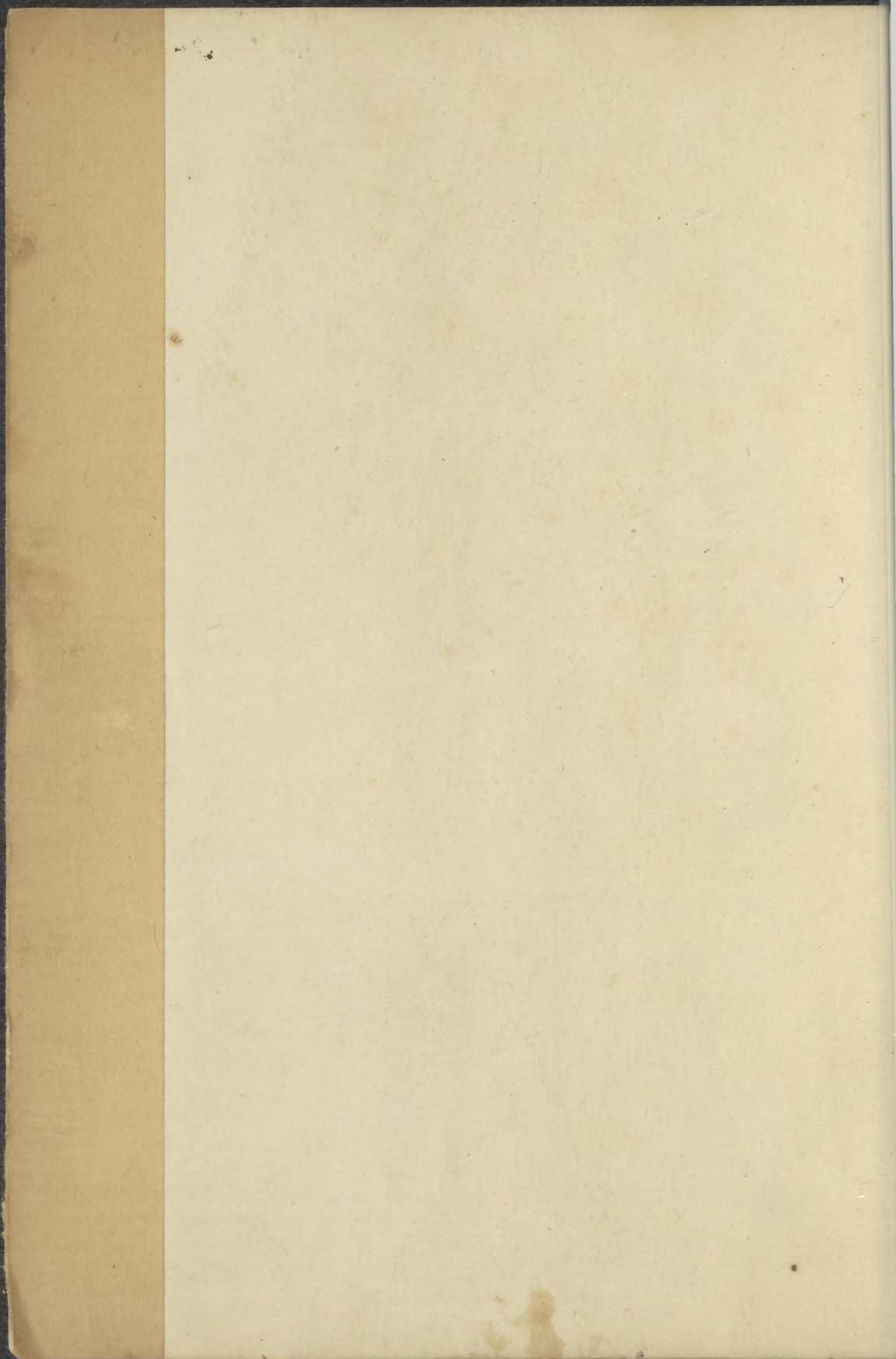


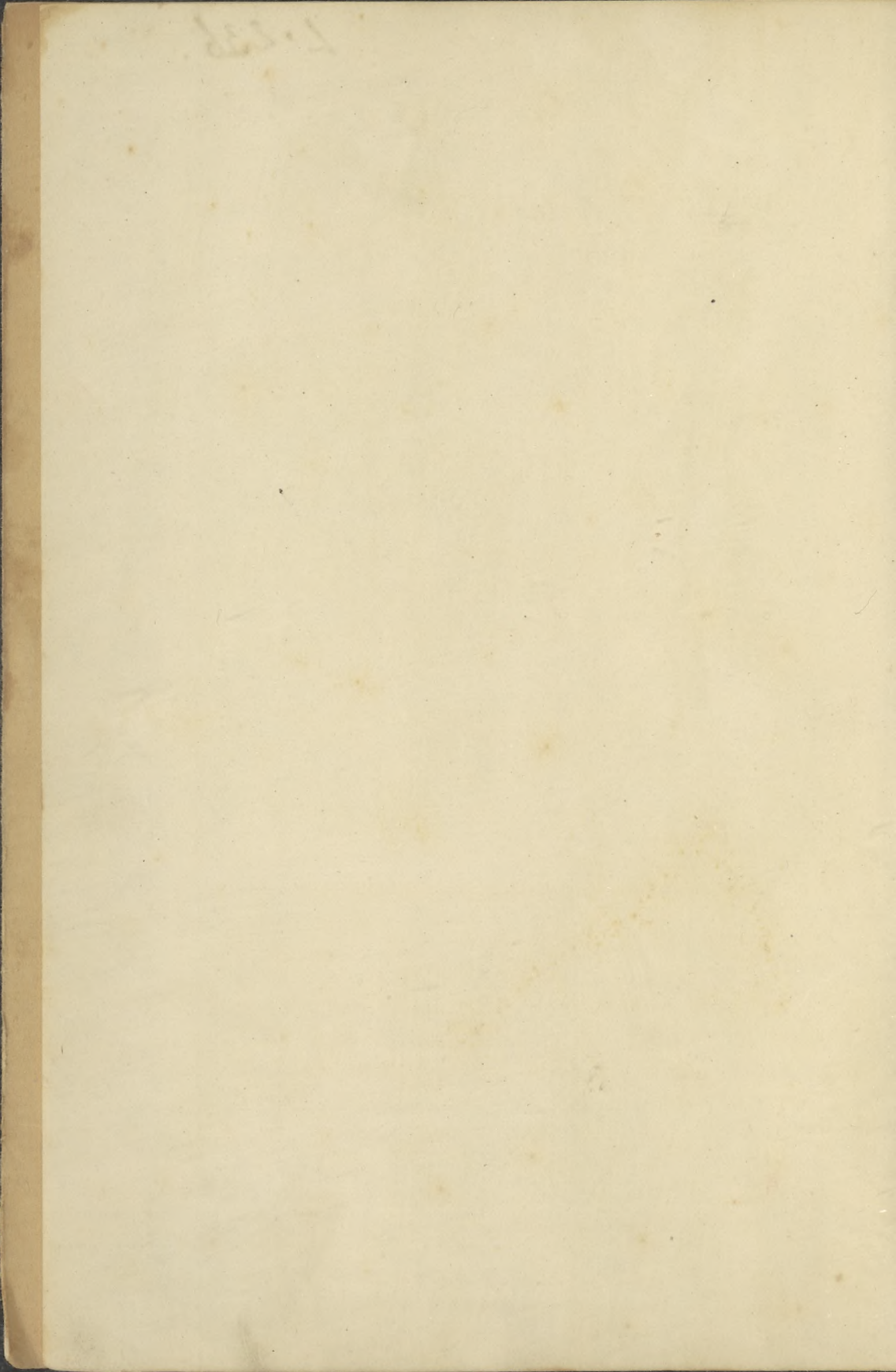
II 797.333

WŁODZIMIERZ
MIAKOWSKI
OBŁOK W
SPODNIACH

WYDAWNICTWO
PHILOBIBLON
WARSZAWA



L. 236



WŁODZIMIERZ
MAJAKOWSKI

OBŁOK W
SPODNIACH
PRZEŁOŻYŁ
JULIAN TUWIM

WARSZAWA MCMXXIII
WYDAWNICTWO
PHILOBIBLON



II 797.333



1941 K 366 / 34

PROŁOŻ

Myśl waszą tępą,
która na mózgu rozmięczonym marzy,
jak wypasiony lokaj na wytartej sofie,
drażnić będę pokrwawionym serca strzępem,
wyznęcam się dosyta, bezczelny i zjadliwy
w każdej strofie.

W duszy mej niema
ani jednego siwego włosa,
ani krzty starczej czułości miękkiej.
Opioruniwszy świat potęgą głosu,
idę — dwudziestodwuletni,
piękny!

O, tkliwi!
Miłość na wiolin rozkładacie,
a gbur ją gromem w burzę kotłów włoży!
Lecz tak, jak ja, nikt skrócić się nie może,
by cały — wargami stać się!

Chodź nauczę cię, —
ty, z saloniku, batystowo-czysta!
W lidze anielskiej wzorze urzędniczki!
Ty, co wargi przewracasz z miną uroczystą,
jak kucharka swej książki stroniczki.

Chcesz, —
to mnie mięso rozwściesz,
i jak niebo
będę tony zmieniał co dnia!
Chcesz, —
bez zarzutu cichy będę, jeśli trzeba!
Nie mężczyzna — ale obłok w spodniach!

Nie wierzę, że Nicea gdzieś zakwita!
Oto znowu słowem swoim sławię
mężczyzn zależałych jak szpital
i kobiety wytarte jak przysłowie!





Sądziecie może, że to bredzi malarja?

To było.

Było w Odesie.

„Przyjdę o czwartej“, powiedziała Marja.

Osiem.

Dziewięć.

Dziesięć.

I oto wieczór!

zgrudniały i chmurny,

odszedł od okien, powlókł się za nocą.

Za zgarbionemi plecami

kandelabry

rzą i chichocą.

Nie mogłyby oczy mnie poznać niczyje:

potwór żylasty,

wije się, wyje,

mękę wlecze go.

Czegóż to może chcieć to ryje?

A ono dobrze wie czego!

Cóż? Mnie tam wszystko jedno:
i to, żem z bronzu,
i to, że serce — żelaziwo chłodne . . .
Nocą
trwożny dzwon swój
chciałbym ukryć w kobiecem, łagodnem.

I oto
olbrzymi
garbię się w oknie,
czołem roztapiam szybę cienką . . .
Będę miał miłość czy nie?
A jaką?
Wielką czy maleńką?

Skąd wielka do takiego ciała?
Pewno malusia jak figa,
ot krzyna miłościneczki.
Toć ona przed samochodu syreną się wzdryga,
lubi saneczek dzwoneczki.

Jeszcze i jeszcze,
z twarzą przywartą ku szkliwu,
ku dziobatej deszczu twarzy,
czekam [pływu.
obryzgany gromem wszechświatowego przy-

Północ z nożem się szasta,
dogoniła,
zarznęła,
precz do cholery!
Godzina
dwunasta,
jak głowa skazańca z szafotu,
runęła!

Kropelki szare z za szyby
w grymas ogromny się zwyły,
jakgdyby
chimery z Notre Dame
pysk rozdziawiły.

Przeklęta!

Cóż — i to nie pomoże?!
Usta wnet się rozedrą krzykiem i tęsknota!
Słyszę:
cicho,
jak chory z łoża,
zeskoczył
nerw.

I oto
najpierw przeszedł się zwolna,
potem biegać zaczął,
zakręcił się jak fryga,
wzburzony, wyraźny,
drga,
teraz on i nowe dwa
w oszalałych miotają się podrygach.

Gdzieś w dolnem piętrze
osypał się tynk . . .
Nerwy, dużo nerwów,
mniejsze, większe,
cała czereda opętana
skacze;
i już
uginają się nerwom kolana.

A noc w pokoju łem zamula się i błotem,
wzrok tonie ociężały w zamulonej toni,
nagle drzwi zadygotały,
jakgdyby hotel
zębami z zimna zadzwonił.

Weszłaś ty,
opryskliwa jak „na, masz“!
Męcząc rękawiczek zamsz,
rzekłaś:
wiesz,
wychodzę zamąż.

Ano cóż . . . wychodź . . .
Nie szkodzi.
Zniosę ból.
Spójrz,
spokojny jestem,
jak puls
umarłego.

Pamiętasz?
Mówiłaś:
„Jack London,
pieniądze,
w odmęt miłości i szału paść!“
A ja wiedziałem jeno,
że jesteś Giocondą,
którą należy skraść.

I skradli.

Znów zakochany pójde po świecie,
ogniem płomieniać brwi mych pręgi.
Cóż!
I w spalonym domu przecie
mieszkają czasem bezdomne włóczęgi.

Drażniesz?
„Smaragdów szaleństwa chcę ja,
a mniej niż nędzarz groszy
ma ich twa dusza!”
Pamiętaj!
Zginęła Pompeja,
gdy rozdrażniono Wezuwjusza!

Hej!
Panowie!
Amatorzy świętokradztw,
rzeźni,
wojny!
A najstraszniejsze widzieliście?
Moją twarz,
kiedy jestem
zupełnie spokojny?

I czuję:

— „ja“ —

to zbyt mało.

Coś w sobie noszę,
co z uporem wyrywa się samo!

Hallo!

Kto mówi? Proszę!

Mama?

Mamo!!

Twój syn jest cudownie chory!

Mamo!!

Syn ma pożar serca!

Powiedz siostrze, Ludce i Oli,
że nigdzie już niema dlań miejsca!

Każde słowo,
nawet żart, nawet zgłoska krótka,
którą syn spalonymi wyrzyguje usty,
wyskakuje jak naga prostytutka
z płonącego domu rozpusty.

Ludzie wachają, —
spaleniznę poczuli.

Zwołali jakichś.

Błyskają.

Kaski w złocie.

— Precz z bučkami!!

Powiedzcie strażakom,
że na płonące serce
włazi się — w pieszczocie!

Sam!

Z oczu beczkami łzy wytoczę,
czekajcie, oprę się o żebra,
wyskoczę! wyskoczę! wyskoczę! wyskoczę!

Runęły.

Lecz nie wyskoczyć z serca!

Przez twarzą pożogę
z rozpękłej ust szczeliny
całusiatka spalone trwożnie się ciskają.

Mamo!

Śpiewać nie mogę!

W kapliczce serca ołtarzyk się zajął!

Osmalone figurki słów i liczb — naprędce
z czaszki

jak dzieci z pożaru kamienicy.

Tak wznosił strach

gorejące Luzytanji ręce,

aby za niebo się chwycić!

Do cichych mieszkań
struchlałych ludzi
z przystani
sto ślepiów łuny wyrywa się, wleci!
Krzyku ostatni, ty choć
o tem że płonę wyjęcz w stulecia!

5

·II·

Chwałę mą głoście!
Nad wszystkim, co było,
stawiam krzyżyk.
Nie dla mnie miejsce
tu, gdzie wasze bożki!
Jam się ich wyrzekł!
Nigdy
nic więcej czytać nie chcę!
Książki?
Co mi tam książki!

Myślałem dawniej,
że książki robi się tak:
przyszedł poeta,
ledwo usta rozchylił
i w tej samej chwili
zakwilił
z bożej łaski natchniony ptak.

A okazuje się,
że zanim śpiewnić się zacznie,
naprzód
długo się chodzi i włóczy i łązi
i w szlamie serca żmudnie się paprze
głupi kielb wyobraźni.

Gdy ze słowików i miłości
miksaturę warzy się liryczną,
gdy się ten syrop rymkami zaprawia,
ulica wije się bezjęzyczna,
niema czem krzycheć i rozmawiać.

Miast babilońskie wieże
w pysze wznosimy znowu,
a Bóg je obraca w perzynę,
i miesza słowa.

Ulica mękę milcząc parła,
krzyk jak drzazga sterczał w grdyce,
dławiły uwięzłe wpoprzek gardła
opuchłe auta i dryndy kościste.

Pierś wydeptały na pieczę.
Starły jak gruzlica.
Zamknął drogę mrok ponury.
A kiedy
— mimo wszystko! —
piers wycharknęła ścisk na ulicę,
zwalone z gardła zepchnąwszy mury,

zdało się:

że Bóg ograbiony karać idzie
w archaniołowych chórów poczcie,
a ulica przykucnęła, wrzasnęła w ohydzie:
„Zreć chodźcie!“

Nalepiają miastu Kruppy i Kruppiątka
brwi groźnych zmarszczki,
a w ustach
rozkładają się umarłych słów trupiątko;
dwa tylko żyją i tyją:
„ścierwo“
i jeszcze jakieś,
zdaje się: „barszczyk“.

Poeci,
rozmokli w płaczu i szlochu,
odskoczyli od ulicy, rwąc sobie włosy:
„Jak dwoma takimi wyśpiewać
i pannę
i to, że się kocha,
i kwiatek w kroplach rosy?“

A za poetami
tysiące — uliczna zbieranina:
studenci,
 prostytutki,
sklepikarze.
Panowie!
Wara! Przestańcie!
Cóż to za żebranina?
Czyście nędzarze?

My, chłopcy chwaty,
krzepkie kamraty,
strzępy z nich drzyjmy, mocarni!
Tak! z nich, wklejonych, jak premja gratis,
w łóżka małżeńskich sypialni!

Mamyż pokornie ich prosić:
„Ach, naucz ty mnie!“
O hymny modły wznosić
lub oratorjum?
Samiśmy twórcy w gorejącym hymnie
łoskotu fabryk i laboratorjów!

Niech sobie Fausty
tańczą z djabłami po niebnej posadźce
w fajerwerkowej feerji reducie!
Cóż mnie do tego?
Wiem,
że gwóźdź w moim bucie
w kozi róg wpędzi fantazję Göthego!

Ja,
najzłotoustszy,
którego każde słowo
to chrzciny duszy,
imieniny ciała,
powiadam wam:
istnienia żywego najmniejsza z okruszyn
cenniejsza jest niż wszystko, com zdziałał i zdziałam!

Słuchajcie!
Naucza
rzeżący i potargany
dnia dzisiejszego Zaratustra krzykousty!

My,
z obwisłemi wargami,
z twarzą zmiętą, jak pościel rozpusty,
my,
Trędogrodu więźnie,
ostrupieni
brudu, zła, złota obmierzłą zarazą,
myśmy piękniejsi niż Wenecji lazur,
w morzach i słońcach skąpany odrazu!

Gwiżdżę na to,
że nie znają
Homery i Owidjusze
ludzi, jak my,
ospą kopciu pokrytych jak maską!
Wiem, że słońce,
ujrzawszy
pokłady złota naszej duszy,
oślepnęły od blasku.

Ściągnij i mięśnie — pewniejsze od próśb!
Nie czekać aż się zmiłuje czas!
Nie błagać litości losu!
Toć trzyma w garści każdy z nas
pas transmisyjny kosmosu!

To właśnie
zaprowadziło mnie wtedy
na Golgoty estrad
Piotrogradu, Odesy, Moskwy i Kijowa.
A wszyscy
wyli, jak jeden:
„Ukrzyżować go,
ukrzyżować!”

Lecz do nich,
do ludzi,
nawet krzywdzicieli,
z miłością najczulszą się zbliżę.
Czyście widzieli,
jak pies
rękę bijącą liże?

Ja, obeśmiany
na uciechę tłumom,
jak dowcip sprośny i obleśny,
widzę przez góry czasu Idącego ku nam,
którego nikt z was nie widzi, współcześni!

Tam, gdzie urywa się ludzki
słabiutki wzrok,
— na czele głodnych hord,
w cierniowym wieńcu rewolucji
nadciąga któryś-tam rok!

Jam oto jego zwiastun i przedślaniec.
Jam wszędzie, gdzie męka jest!
Ukrzyżowany
na każdej kropli waszych łez.

Dość! Pardonu nie będzie już w niczem!
Wypaliłem wam dusze,
te oranżerje czuzków i motyli!
Trudniejsze to, niż zdobycie
tysiąca tysięcy Bastylji!

A kiedy
przyjście Jego
buntem otrąbicie,
sławiąc zbawcy imię,
ja wam
duszę wywlokę,
rozdepczę na olbrzymią
i dam, jak sztandar, krwawą!



·III·

Ach, pocóż to,
skądże to,
w jasne wesoło
zamach pięści zbrukanych?
Przyszła,
rozpaczą okwefiła czoło
myśl o domach obłąkanych.

Wtedy,
jakgdyby na tonącym drednencie
duszący spazm
włókt
ku oknom otwartym szeroko,
— przez swe do krzyku rozdarte oko
lazł
oszałały Burlùk!

Zdało się,
że oczy wyszłocha,
do krwi podrze;
lecz wylazł,
wstał,
nie usiedział,
i z tkliwością
niezwykłą, jak na takiego tłściocha,
wziął i powiedział:
„Dobrze!”

Jak dobrze,
gdy od oględzin
żółtym kaftanem dusza jest zakryta!
Jak to dobrze,
gdy w zęby gilotyny rzucony bandyta
krzyknie:
„Pijcie kakao van Hutena!”

I tej sekundy
bengalskiej
głośnej
za skarbybym się nie wyrzekł
ani na — — — —

Z obłoków dymu,
jak wysoki kieliszek
wypłynęła
spijaczona twarz Siewierianina.

— Jak śmiesz udawać poetę,
ty ćwierkający, szaropióry ptaszku?!
Dzisiaj
trzeba
kastetem
rozplatać światu czaszkę!

Ty,
który jedną masz troskę:
„czy tańczę estetycznie,
patrz, jak bawię się
ja,
łotrowski
wyrzutek, sutener uliczny!!

Od was,
co duszę
w zakochaniu macie rozmoczoną,
którzy przez wieki mazgaicie łzawie,
precz pójdę!
Słońce — jak monokl
w oko rozdziawione wstawię.

Cudacznie wystrojony,
przejdę przez cały glob sam,
abym palił się i podobał!
Napoleona,
jak mopsa,
na smyczy prowadząc przed sobą!

Ziemia,
chcąc oddać się,
cielskiem zawierzga,
cała się rozłoży,
rozkraczy,
przedmioty ożyją,
każdy wargami zagaworzy:
„cacy, cacy, cacy!”

Wtem
chmury
wraz z innem obłoczywem
zaczęły się kołysać i chwiać niebywale,
jakgdyby,
niebu zagroziwszy strajkiem uporczywym,
rozchodzili się gniewnie robotnicy biali.

Grom z za chmury, jak zwierzę, wylazł,
z nozdrzy ogromnych z pasją charknął,
krzywiła się nieba twarz przez chwilę
złym grymasem żelaznego Bismarka.

Ktoś do Café wyciągnął ręce,
ktoś zaplątany w obłocznej matni,
niby łagodne,
niby kobiece
i niby laweta armatnia.

Może myślicie,
że to słoneczko z rozkoszą
głaszcze po buzi Café?
Nie! To znów idzie uśmierzać rokoszan
jenerał Gallifait!

Spacerowicze! Ręce z kieszeni!
Chwyćcie w nie bombę, nóż lub drag!
A jeśli który niema już rąk,
niech przyjdzie i łbem tłucze w ziemię!

Chodźcie,
zziajani,
głodni,
pokorni,
w zawszonym brudku zakiśli ludzięta!
Chodźcie!
Poniedziałki i wtorki
ufarbujemy krwią na święta!

Niech się ziemia pod nożami przekona,
komu bezmiar nudy jej obrzydł!
Ziemia,
tłusta i spasiona,
jak metresa,
którą wykochał już Rotszyld.

By zaś w trzasku salw po całym mieście
trzeptały flagi, jak przy święcie każdym,
hej, latarnie, wysoko podnieście
okrwawione tusze sklepikarzy!

Nakląłem się,
wymodliłem
całego siebie,
chciałem mordować,
wgryzać się w ciała.
Na niebie,
czerwona jak marsyljanka,
w drgawkach zorza zachodu zdychała.

Już obłąkanie.
Noc przyjdzie, zdusi,
przegryzie, połknie,
i w nicość — szast!
Patrzcie!
Niebo znowu judaszowo kusi
garścią
opryskanych zdradą gwiazd.

Przyszła.
Ucztuje jak Mamaj,
ciężkim zadem miasto tłoczy.
Nie zdołamy oczyma przełamać
tej czarnej, jak Azef, nocy.

Winem zalewam duszę i obrus,
w kąć szynku skurczony się wwiercam.
I widzę:
w kącie okrągłe oczy — obraz.
..... oczyma wżarła się w serce.

Poco ciźbę karczemną obdarzasz
świętym blaskiem, szablonowo malowanym?
Widzisz przecie:
znów im droższy jest Barabasza,
niżli

Może umyślnie uczyniono,
że kto w me lico wejrzy,
ten nie dostrzeże, iż jest — nowe!
Ja
może jestem piękniejszy
niż wszyscy Twój synowie!

Niech im w radości zapleśniałym
śmierć rychła wślad podąży.
Uczyń ojcami chłopców małych,
dziewczątka — w ciąży.

I niechaj ród młodopoczęty
obrośnie szron siwizny wieszczu.
Przyjdą oni
i będą dzieciom na chrzcie świętym
dawać imiona moich wierszy.

We mnie, piewcy maszyny i Anglji,
może ukryty jest poprostu!
z pierwszej lepszej ewangelji
trzynasty apostoł.

I kiedy chamskim rykiem i skowytem
gramię bez ustanku w głuszy,
może Zbawiciel wacha z zachwytem
niezapominki mej duszy.



·IV·

Marjo! Marjo! Marjo!
Wpuść, Marjo!
Nie mogę na ulicach!
Nie chcesz?
Czekasz,
aż przyjdę
z krostami na zapadniętej gębie,
wypróbowany przez wszystkie,
zjętzały, ckliwy,
i wymamrocę bezzębnie,
żem dzisiaj
„przedziwnie uczciwy“.
Marjo!
Widzisz —
już jestem jakiś krzywy.

Na ulicach
ludzie tłuszcz przedziurawią w cztero-
piętrowych podbródkach,
wysuną oczki ryże
— czterdzieści lat tępoty —
i nuże w chichoty,
że znowu,
znowu gryzę
czerstwą bułkę wczorajszej pieśczo-
ty.

Deszcz trotuary oszłochał,
w kałuże łążęga się skropił,
liże trup ulic,
brukiem przywalony,
mokry i zimny,
a na siwych rzęsach,
tak!
na rzęsach lodowych sopli,
łyż z oczu,
tak!
z opuszczonych oczu rynny.

Gęba deszczu oblizwała, obessała człeka,
a w powozach lśnią glancem
tusze tłustych atletów,
ludzie pękają
nawskroś przejedzeni,
sadło przez dziury przecieka,
z powozów mętna sączy się rzeka:
bułka wyszana
i miąższ przeżuty nieświeżych kotletów.

Marjo!
Jak wcisnąć im słowo ciche
do ucha otłuszczonego?
Ptakowi
wystarczą pieśni:
dźwięczy świegot
głodnego skowronka.
Lecz jam jest, Marjo,
człowiek prosty:
mnie
suchotnicza wycharkała noc
w brudną rękę Prieśni.
Marjo!
Czy chcesz takiego?
Kurczem palców zaduszę
żelazne gardło dzwonka.

Marjo!

Bestwieją ulic pastwiska,
siniakami na szyi palce tłoku.

Otwórz!

Boli!

Widzisz — szpilki z damskich kapeluszy
Wkłute w oko!

Wpuściła.

Kochana!

Nie bój się,
że mi na szyję wołową
spoczone baby potwornym siadły narostem.
To ja tak przez życie wlokę
miljony ogromnych czystych umiłowań
i milion milionów brudnych miłostek.

Nie lękaj się,
że do tysięcy przystojnych twarzyczek
znów przylgnę, niewierny i nudą znękany;
„kochanki Majakowskiego“!
to przecież cała dynastia księżniczek
na serce warjata intronizowanych.

O, Marjo, bliżej!

Czy w nagim bezwstydzie,
czy trwożna i drżąca,
lecz daj mi całować twych warg wonne kwiecie!
Jam z sercem swem nigdy do maja nie dożył,
a w życiu, w miesiącach,
co setny był kwiecień.

Marjo!
Poeta pieje sonety Tjanie,
lecz ja
jestem z mięsa cały,
człowiek cały,
zwyczajnie proszę o twoje ciało,
jak proszą chrześcijanie:
chleba naszego powszedniego
daj nam, Panie!

Daj Marjo!

Słuchaj!
Imienia twego boję się zapomnieć,
jak poeta
jakiegoś, nocą zrodzonego z bólem,
słowa,
które wielkością
równać się może z Bogiem!

Ciało twoje
będę kochał tak czule,
jak żołnierz,
odrabany wojną,
niepotrzebny i niczyj,
kocha swą jedyną nogę.

Nie chcesz, Marjo?
Nie chcesz!
Ha!
Więc znów
z rozpaczy i nudy
poniosę serce
pokropione łzami,
jak pies,
który do budy
niesie łapę obciętą pod kołami —

.....
.....
Tysiąc razy jak Herodjada
opląsa słońce ziemię
.....

I kiedy
ilość mych lat
wypląsa do końca
krwi kropli miljonem uściele się ślad
ku domowi mego Ojca.

Wygramolę się,
brudny od noclegów w rowie,
stanę tuż przy nim,
nachylę się
i na ucho powiem:
„Słuchaj pan, panie“

Jak można tak bez ustanku
moczyć poczciwe oczy w galarecie niebios?
Wie pan co?
Urządzimy karuzelę, panie kochanku,
na drzewie wiadomości dobrego i złego.

.
.
.
.
.
.

Nie chcesz?

.....

Marszczysz siwe brwi?

Myślisz może,

że ten, za tobą,

skrzydlaty,

coś o miłości wie?

Ja też aniołem byłem,

Nic — tylko baranek lukrowany,

lecz nie chcę więcej dawać kobyłom

wazonów z sewrskiej porcelany.

O, Boże! wymyśliłeś parę rąk,

za Twoją sprawą

każdemu dana jest głowa, —

dłaczegoś tak nie uczynił

aby można było bez mąk

całować, całować, całować?!

.....
.....
.....
.....
.....
.....

Puście!
Mnie
nie zatrzymacie!!
Czy kłamie,
czy prawdę mówię święta,
ale już się nie uspokoję!
Patrzcie!
Gwiazdom znów głowy ścięto,
niebo rzezią zakrwawiono i bojem!

Te! niebo!
Kapelusz zdejm!
Ja idę!

Głucho.

Wszechświat śpi,
trzymając na łapie swej
z kleszczami gwiazd olbrzymie ucho.

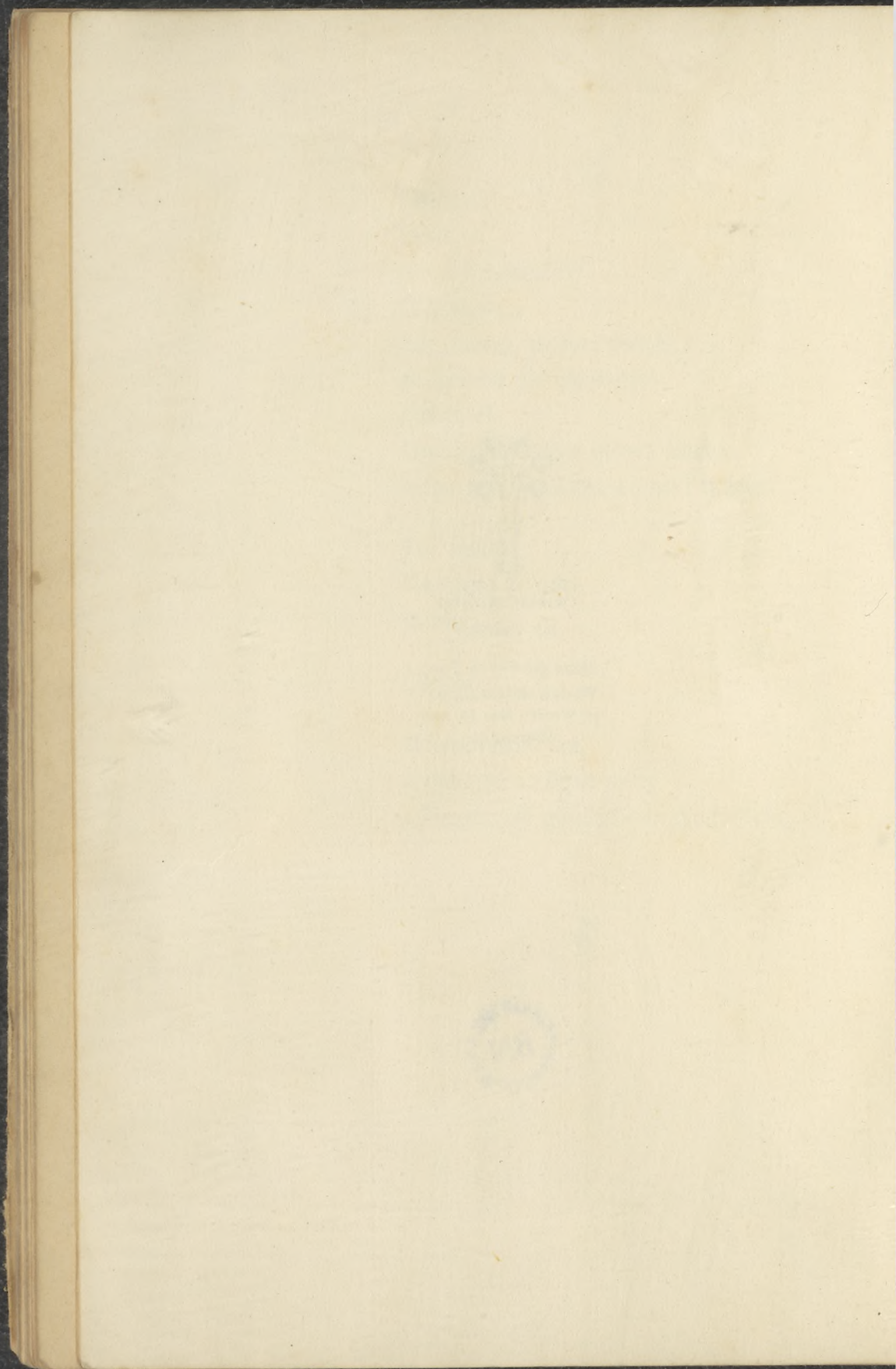


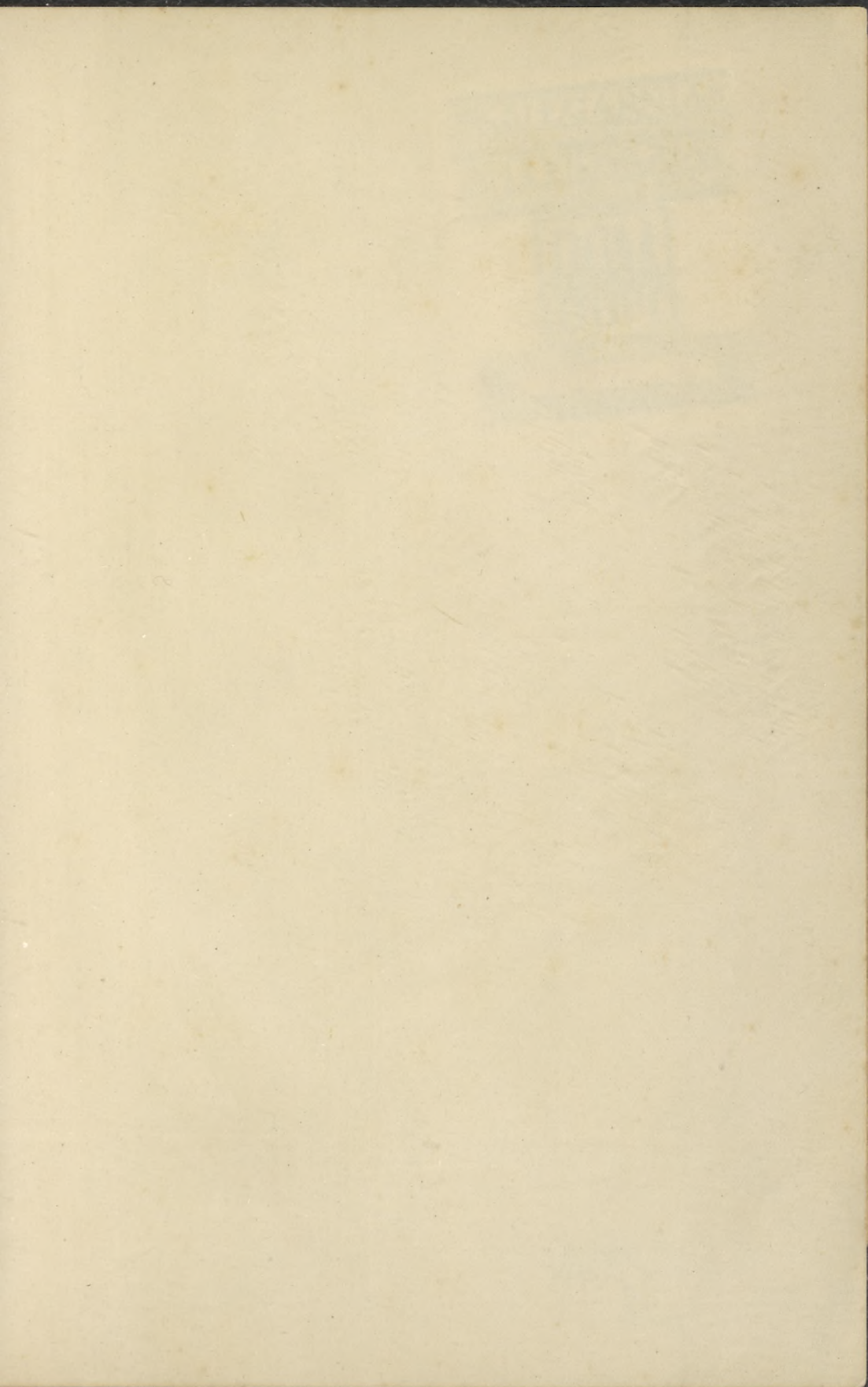


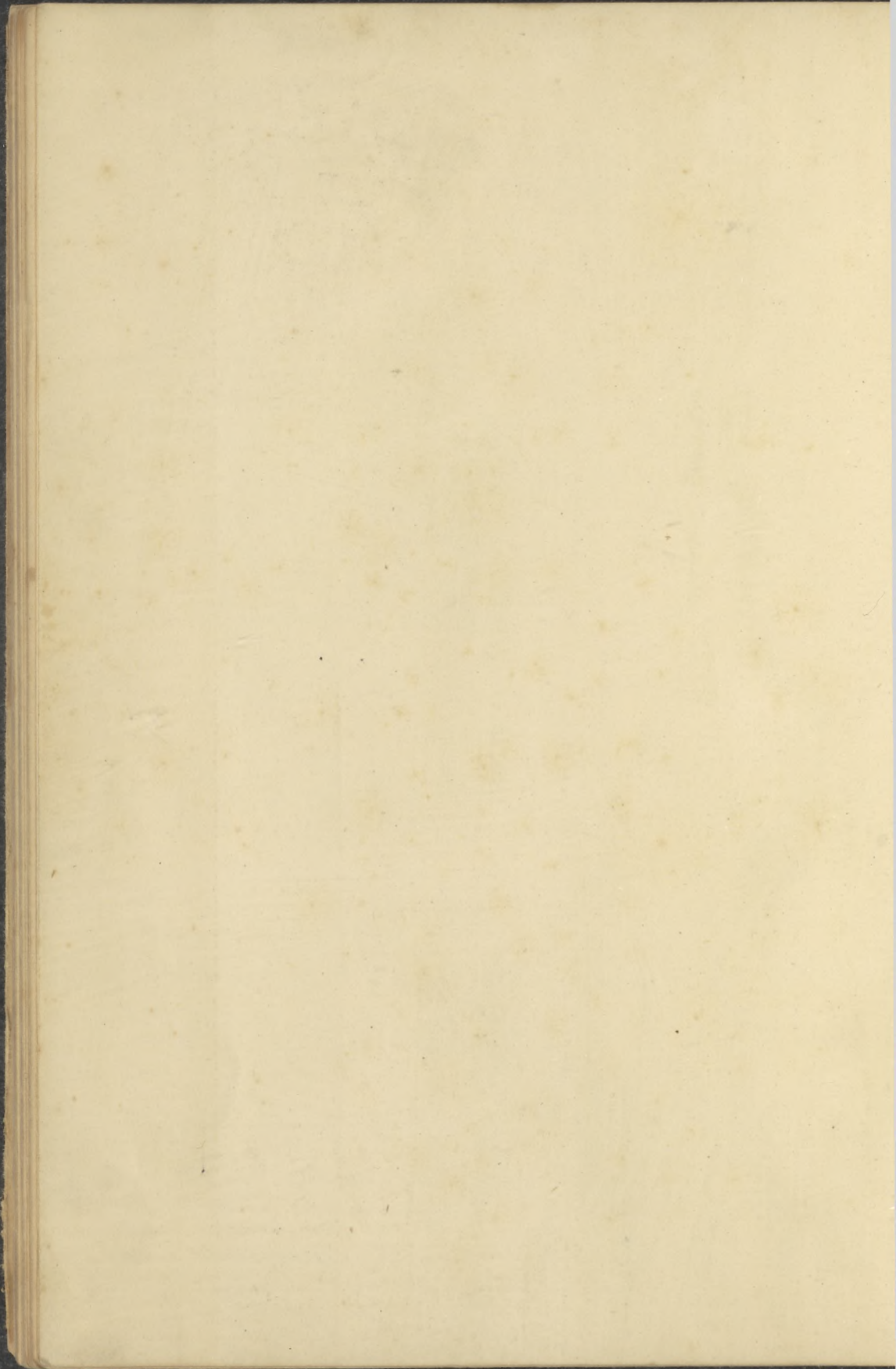
Okładkę rysował
Jan Czycholt

Skład główny w Tow.
Wydawniczym „Ignis“
(E. Wende i Ska) Sp. Akc.
Warszawa.









KSIĘGARNIA

ANTYKWARIAT

DOM
KSIĄZKI
DOM

685093 E

Antykw. br.
Warszawa, 22-4-27

- 502k

50

